ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 27-go Maja 1897. Nr. 21.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc w Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi z przesyłką pocztową 85 cent. — Pojedyńczy zeszyt kosztuje 15 centów. — Główny skład na Galicyą i Bukowinę znajduje się w księgarni pp. Kubaczki i Langa w Białej (Galicya) OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 10 centów od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

Gdy Sabinus wszystko to rozważył, udał się szybkim krokiem do domu i zaraz wszedł do mieszkania matki.

Małżonka prefekta lubiła przepych; mieszkanie jej przeto urządzone było z królewskim zbytkiem. Kosztowne dywany pokrywały podłogę. Na stołach z drogiego drzewa, ciągnących się wzdłuż ścian, stały złote świeczniki obok posążków misternej roboty, szklanne naczynia, ozdobione obrazkami, szkatułki z kości słoniowej i złota, wazy achatowe i wiele innych kosztownych rzeczy. Przez okno, przysłonięte bogatemi zasłonami, widać było werandę, gdzie wśród rzadkich kwiatów umieszczony był wodotrysk, którego wody spadały w srebrne naczynie. Jeżeli Herakliusz, bogactwa zbierając, ręce swoje zbrudził, wiele winy w tem miała jego żona, nierozumnie rozrzutna i w przepychu a zbytku się lubująca.

Sabina leżała na łożu, okrytem purpurą i czytała niemoralną sztukę teatralną, gdy syn wszedł.

Żona Herakliusza nie była ani lepszą, ani gorszą od innych kobiet w Rzymie. Dumna z swojego szlachectwa, sprawowała rządy w domu; jakkolwiek niewolnice jej nieraz cierpieć musiały z powodu humoru pani, to jednak były w Rzymie inne panie, obchodzące się ze służbą okrutniej i gorzej. Wysokie stanowisko, jakie sobie jej mąż zdobył, napełniało ją zadowoleniem a do zupełnego szczęścia nie potrzeba jej było nic więcej, jak gdyby się syn jej ożenił z córką starego rodu szlacheckiego i stanu senatorskiego.

Skoro tedy Sabinus zaczął jej o wszystkiem opowiadać, uradowała się bardzo a gdy skończył, rzekła:

— Ojciec musi więźnia uwolnić, moje serce. Nigdy już nie nadarzy ci się druga taka sposobność. Idźmy natychmiast do niego!

— Lecz czekaj! — zawołała stając i rękę do czoła przykładając. Po niedługiej chwili namysłu znalazła widocznie, czego szukała. Zawoławszy niewolnicę, poleciła jej udać się zaraz do mamertyńskiego więzienia i zaprosić Waleryę na rozmowę do niej. Potem położyła rękę na ramię synowi i poszła z nim do mieszkania męża.

— Napotkamy u ojca twego — rzekła, — na wielki opór. Mów ty najprzód; w stósownym momencie przyjdę ci w pomoc.

Herakliusz chodził od chwili, gdy Walerya wyszła, pełen niepokoju po izbie; serdeczne prośby nieszczęśliwego dziecka zaczęły mu pukać z wielką gwałtownością do sumienia.

— Co cesarz względem Rufina postanowił, mówił sam do siebie, tego się nie da zmienić!

Temi słowami starał się uspokoić sumienie swoje, a przerywając wątek tych myśli, zaczął szukać między senatorami, kogoby wmięszać do rzekomego spisku Rufina. W tej chwili weszła żona i syn. Herakliusz zdziwił się, ujrzawszy ich obojgu i czekał, co mu powiedzą. Sabina, nic nie rzekłszy, usiadła na stołku i bawiła się wachlarzem z najpiękniejszych strusich piór, podczas gdy syn tak się odezwał:

— Ojcze, skończyłem dwadzieścia dwa lata i czas już, ażebym się ożenił.

— Na Jowisza, to jest pierwsze rozsądne słowo, jakie od kilku miesięcy od ciebie słyszę.

— Znalazłem piękną, młodą i bogatą pannę, ze szlachetnego rodu i jedyną dziedziczkę bogatego wdowca.

— Bogatą, piękną i młodą, — i taka panna chce zostać twoją żoną? — zawołał Herakliusz z niedowierzaniem.

— Szczęście przyczepiło do mojej wędki wabika, na który złota rybka z pewnością się złapi, jeżeli... jeżeli ty, ojcze, wody mi nie zmącisz!

— Nie pojmuję znaczenia twoich słów. Lecz jeźli fortuna twoje szczęście chce uprząść, ojciec twój nie będzie jej nici zrywał.

— Krótko i węzłowato tedy ci mówię, że córka prefekta Rufina oddałaby mi swoję rękę, gdybyś ty procesu przeciwko jej ojcu zaniechał.

Herakliusz wyłupił oczy na syna i przez chwilę nic nie mówił, ale wnet zawołał:

— Czyś razem z pieniędzmi i rozum przegrał w kostki? Z tego małżeństwa nigdy przenigdy nic być nie może. Nie, nie! Nie chcę za synową córki człowieka, który mnie tak ciężko obraził. A choćbym nawet chciał, czyż nie wiesz, że Rufinus jest oskarzony za spisek przeciwko cesarzowi i że już jest tak dobrze, jak skazany?

— Postaw za niego jakiego innego niewinnego człowieka na liście.

Herakliusz chodził niespokojnie po komnacie, nakoniec zapytał:

— Czy myślisz na prawdę, że ta dziewczyna za życie ojca pojmie za męża urwisza, z taką łajdacką twarzą jak twoja?

— Zarzekała się na wszystko, — odpowiedział Sabinus, — że nie ma ofiary, którejby nie spełniła, ażeby tylko ojca od śmierci uratować. Co się zaś tyczy mojej twarzy, — dodał z złośliwym uśmiechem, — cały Rzym twierdzi, że ona nadzwyczajnie jest podobna do twarzy mojego ojca.

Na te słowa posunął się Herakliusz ku synowi nadzwyczajnie oburzony, lecz w tej chwili też Sabina wtrąciła się do rozmowy Sabina.

Rzymianie zwykli byli nazywać swoje żony »swojemi paniami«; w ustach Herakliusza nie były to jedynie grzeczne słowa. Gdy Sabina, dama wysokiego rodu oddała rękę swoją takiemu dorobkiewiczowi, jak on, uczyniła to w tej myśli, iż rzeczywiście będzie panią a mąż tylko niewolnikiem, ustępującym jej we wszystkiem.

— Mój kochany małżonku, odezwała się Sabina, chodzi o szczęście naszego syna i jeżeli owa młoda panienka zgodzi się na oddanie mu ręki, natenczas ojciec jej musi uzyskać wolność.

— Ależ, moja pani, zawołał prefekt, czy zapomniałaś, że ten sam człowiek skazał mnie na wygnanie, że niedawno dopiero ciężko mnie obraził? Przed godziną jeszcze doznałem od niego obrazy a teraz mielibyśmy sobie jako teściowie, paść w objęcia?

— Małżeństwo dzieci pogodzi niezgodę ojców, odpowiedziała uspokajająco Sabina.

— Czyż nie ma w Rzymie setek młodych panien, — zaczął Herakliusz synowi przedkładać, — młodych, pięknych i bogatych, któreby jedynemu synowi prefekta cesarskiej kancelaryi chętnie rękę oddały? Dla czego właśnie tę dziewczynę sobie w lekomyślności swojej upatrzyłeś na złość i przekorę ojcu swemu? Lecz choćby syn mój lekce sobie ważył obelgi, jakie dotknęły ojca

jego, po małżonce mojej mogłem się spodziewać...

Lecz Sabina nie pozwalając mu dokończyć rzekła:

— Czyż to nie będzie największym twoim tryumfem, mój kochany małżonku, że Rufinus z twojej ręki, z twojej łaski życie otrzyma? Czyż ci nic na tem nie zależy, abyś miał przychylność prefekta Rzymu?

Herakliusz zastanowił się na te słowa. Gdyby oprócz wpływu, jaki wywiera na cesarza, zdołał pozyskać jeszcze przyjaźń prefekta Rzymu, przyjaciela Konstantyna, natenczas nie byłoby potężniejszego męża od niego, wtedy też wojna go nie trwoży, albowiem czy Maksencyusz czy Konstantyn zwycięży, on nie zginie!

— Lecz cesarz, zawołał prefekt, cesarz nakazał, aby Rufinus umarł; śledztwo jest ukończone, wina udowodniona, zabranie majątku Rufina dla próżnej kasy cesarskiej konieczne i już wydałem odnośny rozkaz: nie, nie, to wszystko już nie może się odstać.

— Boskiemu Maksencyuszowi jest rzeczą obojętną, przerwała Sabina, czyje dobra zabrane zostaną. Wyrok w sprawie Rufina jeszcze nie wydany, a więc jeszcze masz wolną rękę. Nie potrzeba nic więcej, jak abyś w aktach znalazł jaki błąd formalny. Wtedy proces musi się zacząć od nowa a śledztwo nowe wykaże zupełną niewinność oskarzonego. Cesarzowi pogrozisz, że jeżeli Rufinowi znowu urzędu prefekta nie odda, lud rzymski się zbuntuje.

— Lecz śmierć Sofronii, listy, które... Narażę się na największe nieprzyjemności! Czy wiesz, że narażasz życie moje na niebezpieczeństwo?

Sabina nie zdążyła jeszcze na to odpowiedzieć, gdy wszedł niewolnik oznajmując, że przybyła Walerya.

— Zdajcie na mnie rozmowę z nią, rzekła Sabina, wy obaj jesteście zbyt niezgrabni, aby takiego gołąbka złapać. — —

Pół godziny później wyszła Walerya z mieszkania Herakliusza z listem do dyrektora więzienia, zawierającym rozkaz, ażeby Aradiuszowi Rufinowi natychmiast najlepszą izbę swoją oddał na mieszkanie, ażeby się z nim jak najgrzeczniej obchodził a sędziów po południu na nowe posiedzenie zawezwał.

Gdy Walerya pałac opuściła, stanęła na chwilę i odetchnęła z całej piersi.

Ofiara została spełniona; tylko sam Bóg wiedział, jak ciężko jej było ją spełnić.

Walerya uczyniła znak krzyża na czole, spojrzała z ufnością ku niebu a potem udała się do więzienia mamertyńskiego.

Na pół zatarty obraz w katakumbach św. Piotra i Marcelina przedstawia Zuzannę w postaci baranka, jak na nią dwaj sędziowie w postaci wilków napadają. Możemyż mieć nadzieję, że i dla Waleryi znajdzie się Daniel, który ją z paszczęki wilków wybawi i nikczemne plany Sabina i jego matki zepsuje?

Nie! Na dworze Maksencyusza w Rzymie nie było takiego Daniela.

Gdy Walerya ojca swojego z więzienia wywiedzie, wtedy on wprawdzie stanie się wolnym, lecz ona zakuje się w okowy, o których wie, że są bardzo ciężkie, lecz które z męstwem męczennicy jako ofiarę zbawienia duszy ojca chce nosić.

VI.

W więzieniu mamertyńskiem.

Więzienie mamertyńskie, u stóp Kapitolu, po stronie od forum, było kaźnią dla zdrajców i buntowników przeciwko państwu. Składa się ono, o ile poznać można z tego, co z niego pozostało, z górnej kaźni, do której dzisiaj z ulicy po schodach się schodzi i dolnej, która jest znacznie mniejsza, w skale kapitolińskiego pagórka wykuta, zaledwie tak wysoka, że dorosły człowiek stać w niej może i sześć stóp średnicy mająca. W płaskiej posowie z ogromnych kamieni kwadratowych znajduje się okrągły otwór, który w dawnych czasach jedyne wejście do tej jamy stanowił. Przez ten otwór spychano zbrodniarzy na dół, przez nią podawano im nędzne pożywienie, jeżeli na śmierć głodową

nie byli skazani. Nigdy nie zajrzał nawet najsłabszy promień słońca do tego strasznego wilgotnego, zimnego grobu; nigdy nie zawiało tu dotąd świeże powietrze, aby rozproszyć ciężki i nieznośny zaduch. Według tradycyi ślęczał w tem więzieniu książę Apostołów, św. Piotr; wodą ze źródła, które tu, jak mówi legenda, cudownie ze skały wytrysnęło, chrzcił dozórców więziennych; okowy, które tutaj nosił, i te, w które go Herod w Jerozolimie okuć kazał, znajdują się w kościele Sancti Petri ad vincula. Kościół wymienia z następujących wieków prześladowań jeszcze kilku męczenników, którzy tutaj w więzieniu mamertyńskiem również ślęczeli.

Gdy Rufinus do tego straszliwego więzienia wrzucony i kajdanami do słupa przykuty został, wiedział, że musi tu umrzeć opuszczony i zapomniany lub jeżeli ztąd wyjdzie, to tylko na to, aby iść na śmierć. Żywcem pogrzebiony w tym ponurym grobie, otoczony ciągłym mrokiem i z mrokiem w duszy, zgrzytał Rufinus zębami z bólu i gniewu, wstrząsając łańcuchami. Lecz zimne, twarde głazy więzienne nie miały współczucia dla jego boleści a brzęk łańcuchów w głuchej ciszy więzienia zdawał mu się być szyderczym śmiechem złych duchów. Obawiał się, że mu się rozum pomięsza, tak dziko i bezwładnie krzyżowały się myśli jego ducha. Z jękiem przyłożył gorące czoło do wilgotnej ściany więzienia, potem upadł i oparłszy głowę na rękach, patrzał w nieprzeniknioną ciemność.

Powoli uspokajał się, myśli wracały do porządku a Rufinus zaczął myśleć o swojej przeszłości.

Jakże był szczęśliwy! Bogactwa, dostojeństwa, zacną żonę, synów uprawniających do wielkich nadziei, szlachetną córkę, wszystko to przeznaczenie mu dało, — ażeby mu to wszystko znowu jednym zamachem wydrzeć.

— Czyż być może, — tak się sam siebie pytał, potrząsając kajdanami, — ażeby istniała najwyższa istota, rządząca losami śmiertelników? Dla czego pozwala, że cnota ulega a zbrodnia tryumfuje? Żyjąż na całym świecie dwie szlachetniejsze i Bogu swemu wierniejsze dusze, jak moja żona i córka? A Bóg nie obronił jednej przed napaścią cesarskiego rozpustnika, na drugą zaś, słabe dziewczę, pozwolił spuścić tak niezmierny ból! Z jaką żądzą wczytywało się strapione i chore serce moje w napisy w podziemnem mieście umarłych! Miałem zamiar zostać chrześcianinem, prawie nim już byłem; lecz w tej chwili, gdy pełen wiary i nadziei ręce moje wyciągnąłem do światła, zostałem wrzucony w tę jamę i poznałem, że to był błędny ognik, że wszystko było złudzeniem i głupiem oszukiwaniem samego siebie.

Wtem wzdrygnął się Rufinus; wszystkie nerwy naprężyły się, wstrzymał oddech.

Zupełnie wyraźnie słyszał głos swojej córki: Tata, tata!

W ten pieszczotliwy sposób odzywały się w starożytności jak i dzisiaj dzieci do ojców a Walerya używała tego słowa wtedy, gdy chciała być szczególnie serdeczną.

Czyż to był duch jego córki, oznajmiający ojcu, że dziecko jego całem sercem jest przy nim?

Lecz teraz usłyszał Rufinus w górnej kaźni szelest i odgłos kroków, potem zaraz głos męzki dozórcy więziennego, a tuż głos córki coraz bliżej. Prefekt zadrżał na całem ciele z wzruszenia: czyż podobna, aby córka jego znalazła drogę do niego?

Rzekomo z rozkazu prefekta kancelaryi cesarskiej rozkazał dyrektor więzienia dozórcy sprowadzić Waleryę po schodach aż do otworu, wiodącego do dolnej kaźni; ona to, pełna niecierpliwości, już zdaleka wołała na ojca pieszczotliwie i słodko.

Gdy zeszli ze schodów, poprowadził dozórca Waleryą za rękę kilka kroków naprzód, a potem stanął i zawołał:

— Panie, przyprowadziłem ci córkę, która cię chce odwiedzić.

Walerya była bliską zemdlenia, gdy z głębi doszedł ją głos ojca i brzęk łańcuchów.

— Uklęknij tutaj przy tym okrągłym otworze, — odezwał się dozórca więzienny do Waleryi, — a bądź baczną, abyś nie wpadła do lochu; tylko tu z góry możesz z ojcem rozmawiać. Za pół godziny przyjdę po ciebie, jeżeli tak długo zdołasz tu wytrzymać.

Walerya uklękła na posadzce, macając po zimnych, wilgotnych kamieniach, które tworzyły brzeg otworu do jamy; potem pochyliła się, czy ojca nie zobaczy, lecz ciemność była tak wielka, iż niczego nie mogła rozpoznać.

Rufinus natomiast, którego oczy przywykły do ciemności, rozpoznał przy otworze przynajmniej cień jej postaci.

— Jakaż to pociecha dla mnie, — zawołał, — moja słodka dziecino, że cię jeszcze raz widzieć i mówić mogę, zanim umrę! Wyciągnij rękę ku dołowi, ażebym się mógł przekonać, że to ty rzeczywiście jesteś.

Walerya wyciągnęła rękę ku dołowi i wstrząsnęła się cała, gdy zimne, wilgotne ręce ojca dotknęły jej ciepłej ręki.

— Lecz powiedz mi, — pytał prefekt, — jakim sposobem zdołałaś tu dotąd się dostać i tak prędko po mojem uwięzieniu?

— Napróżno usiłowałam przekupić dyrektora więzienia, — odpowiedziała Walerya; — za jego wskazówką udałam się do prefekta kancelaryi cesarskiej, Herakliusza.

— Ten nędznik dopomógł cesarzowi za pomocą podrobionych listów mnie zgubić. Zarzuciłem mu to przed sądem i niezawodnie nie wysłuchał twojej prośby.

— Rzeczywiście już zniknęła wszelka nadzieja, gdy nagle dobrotliwy Pan Bóg w miłosierdziu swojem zesłał mi w synu tego samego Herakliusza przewodnika, który mnie do ciebie zaprowadził.

— Syn Herakliusza? Czy złe drzewo może mieć dobrą gałęź? Zapewnie syn okazał się wraźliwszy na twoje pieniądze, aniżeli dyrektor więzienia. Lecz czy tak, czy owak, jestem mu wdzięczny ze serca za to, że cię widzę jeszcze raz przed śmiercią. Gdyby nie troska o ciebie, moje dziecko, zstąpiłbym, z lekkiem sercem porzucając strzępy mego szczęścia i moich marzeń, do przepaści zapomnienia i wiecznej nocy.

W ostatnich słowach Rufina mieściło się tyle ponurej rezygnacyi, że Walerya natychmiast ku wielkiemu smutkowi swemu poznała, jako łańcuch, którym łaska Boska przeszłej nocy jego łódź życiową do krzyża przywiązała, w burzy nieszczęścia pękła. Lecz z całą miłością córki i chrześcianki postanowiła święty węzeł wiary na nowo nawiązać i łódkę z wzburzonych bałwanów do pewnego portu prawdy i zbawienia doprowadzić. Ze słowami córki zaś połączyła się modlitwa małżonki przed tronem Bożym.

Choć z gorzkim uśmiechem i wewnętrzną niechęcią Rufinus słuchał Waleryi, ale słuchał; wszakże to głos jego ukochanego dziecka, które do niego mówiło. Zwolna znikał uśmiech szyderstwa i niedowierzania z jego twarzy, niechęć zanikała; wzburzone fale uczucia w jego piersiach ukołysały się a z poza chmur czarnych zajaśniał znowu promień słoneczny i oświetlił ciemnicę jego duszy. Uważniej, coraz uważniej słuchał Rufinus z głębi kaźni słodkich słów córki: brzmiały one jak słowa wyższej istoty, która się do niego odezwała. Jak pod żarem słonecznym więdniejąca roślina, zwolna do życia wraca, gdy niebo deszczem je zrosi, tak i dusza jego pociechy spragniona podnosiła się z upadku orzeźwiona rosą łaski. Gdy zaś Walerya przypomniała mu list Sofronii i modlitwę jej za męża przed tronem Boga, wtedy zniknęła jego rozpacz i niewiara a Rufinus korząc się przed potęgą łaski, zawołał:

— Teraz znowu wierzę, kochane dziecko, tak, chcę wierzyć we wszystko, w co ty wierzysz, w co matka wierzyła; chętnie umrę, skoro będę mógł umrzeć jako chrześcianin.

Ponad wszystko ziemskie szczęście słodszem jest to szczęście, gdy się jaką drogą i zacną duszę po długiej walce dla Boga i prawdy uratuje; pociechą zaś nad pociechami bywa, dojść po

długiem błądzeniu do Boga, z zimnej, ciemnej nocy wyjść na jasne, ciepłe słońce prawdy, z strasznej, opustoszałej pustyni niewiary do ogrodu Kościoła. W tem szczęściu i tej pociesze zapomni serce o niedoli i bólu; kolce przestają wtedy ranić; kaźń staje się mniej straszną, śmierć mniej gorzką.

Walerya mogła mieć nadzieję, że za pomocą podarunków pieniężnych zdoła uzyskać częściej wstęp do więzienia nietylko dla siebie, ale także dla kapłana, który ojcu chrztu św. udzieli. Gdy przeto głos dozórcy od schodów usłyszała, pożegnała się z ojcem z lżejszem sercem w nadziei, że w najbliższych dniach się z nim zobaczy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BRACTWA STRZELECKIE.

W wiekach średnich wszystkie znaczniejsze miasta, celem obrony przeciw napadom nieprzyjacielskim i przewadze możnowładztwa, opasywały się wałami, fosami, palisadami, murami i basztami, w których bywały także bramy wjazdowe. Mieszczanie podzieleni byli zwykle na bractwa rzemieślnicze czyli cechy, z których każdy zamieszkiwał najczęściej jedną ulicę lub dzielnicę miasta, miał wyznaczoną sobie część murów do obrony, którą własnym kosztem utrzymywał i własnemi piersiami w razie szturmu zasłaniał, i basztę w której posiadał swój arsenał (cekauz). Z tego powodu między mieszczanami powstały osobne bractwa dla ćwiczenia się w celnem strzelaniu z łuków, a później gdy proch się upowszechnił, z rusznic. Królowie uznając pożyteczność podobnych stowarzyszeń dla obrony kraju, chętnie potwierdzali ich ustawy i nadawali im nowe przywileje.

Podobno pierwsze bractwa strzeleckie miały powstać w niemieckich miastach hanzeatyckich, w czem naśladowane były potem przez miasta całej Europy a zatem i polskie. Ztąd w Niemczech nawet po małych miasteczkach i wioskach strzelanie do celu mającego kształt ptaka (Vogelschiessen) z łuku lub palnej strzelby, stanowi dotąd najulubieńszą zabawę ludu. Bolesław I, książę ślązki z krwi Piastów, potwierdził roku 1286 bractwo strzeleckie miasta Świdnicy i sam uczestniczył, gdy do ptaka na wysokiej żerdzi zatkniętego Świdniczanie z łuków strzelali. Ponieważ za Kazimierza Wielkiego 72 miast polskich zostało ufortyfikowanych a prawie wszystkie rządziły się prawem magdeburskiem i były obowiązane do obrony własnej i kraju, zatem niewątpliwie większość tych miast posiadała bractwa strzeleckie. Najdawniejsze wiadomości o podobnych bractwach mamy: w Krakowie, Warszawie, Toruniu, Lwowie, Poznaniu i Kaliszu.

Corocznie, zwykle w Poniedziałek po oktawie Bożego Ciała, zgromadzali się strzelcy do kościoła, zkąd udawali się do strzelnicy zwanej celstatem (Zielstatt), gdzie przez trzy dni strzelano do celu. W Krakowie, Warszawie, we Lwowie i gdzieindziej, tarcza wyobrażała koguta zwanego »kurkiem«. Często król z dworem bywał na tej zabawie a synowie senatorów ubiegali się o lepsze z mieszczanami. Kto ustrzelił łeb, ogon lub skrzydło kurka, dostawał w nagrodę półmisek cynowy z wyobrażeniem tejże części, kto zaś w same piersi kurka trafił, zostawał królem kurkowym na rok cały. Z muzyką i okrzykami całe bractwo odprowadzało go do domu; jeden z członków niósł przed nim kurka srebrnego, który aż do następnego roku u króla kurkowego pozostawał. W nagrodę swej zręczności używał on przez ten czas znacznych przywilejów, mogąc n. p. niepłacić podatków i sprowadzać wino i towary bez opłaty celnej, co w roku 1765 zamieniono w Krakowie na dar pieniężny 3,000 zło-

tych wynoszący. Po zabawie kurkowej król polski dawał ucztę dla strzelców podług swej woli; dla dwunastu zaś mężów i starszego w bractwie, wyznaczona była ustawą pewna ilość garncy wina, miodu, pierników i potraw. Bractwa kurkowe stanowiły zarazem do roku 1794 rodzaj szkoły strzeleckiej, w której uczono strzelania z łuków, kusz, rusznic i hakownic. Ostatnim królem kurkowym za czasów Polski został w r. 1793, Stanisław Piątkowski pasztetnik. Mawiano więc:

»Stanisław Poniatowski, ostatni król polski,
Stanisław Piątkowski, ostatni król kurkowy«.

Za czasu rzeczypospolitej krakowskiej towarzystwo strzeleckie zostało odnowionem i dotąd istnieje, a ogród jego ze strzelnicą, zwany strzeleckim, jest ulubionem miejscem zabaw Krakowian. Kurek z blachy srebrnej, przechowywany przez to bractwo, prawie naturalnej wielkości (15 cali wysoki), wyobraża koguta, jako godło czuwania nocnego w niebezpieczeństwie, i jest znakomitym wyrobem sztuki złotniczej, z której w wieku 15-tym i 16-tym słynął Kraków. Majeranowski, redaktor »Pszczółki krakowskiej«, pomieszczając w swem piśmie roku 1821 wiadomość o towarzystwie kurkowem i ciekawy jego statut z r. 1564, podał przytem ułożoną przez siebie »piosnkę braci kurkowych« jako niby dawniejszy zabytek, czem wielu w błąd wprowadził. Bractwo łuczników w Warszawie posiadało uchwały miasta z lat 1540 i 1547, które wraz z kurkiem srebrnym z roku 1552 przechowywane są dotąd w ratuszu warszawskim. Liczne przywileje króla kurkowego, które roku 1765 zostały zamienione w Krakowie na dar pieniężny, takiej samej zamianie uległy w Warszawie jeszcze w r. 1547. Jan Kazimierz pragnąc mieć, jak się sam wyraził, ludzi sposobnych do wojny, którzyby łącząc zabawę z korzyścią, byli przygotowani w czasie pokoju do używania broni w potrzebie, przywilejem z roku 1652 nadał bractwu warszawskiemu obszerny plac do ćwiczenia w strzelaniu, położony między ulicami: Leszno, Przejazd, Nowolipie i cmentarzem dyssydentów. Towarzystwo to jednak dotrwało tylko do połowy 18-go wieku.

Podobno ze wszystkich bractw strzeleckich najwięcej korzyści dla Polski przyniosło bractwo lwowskie, gdyż najczęściej sami mieszczanie bronić musieli miasta od nierzyjacielskich napadów. Zygmunt August w przywileju z roku 1546 dla strzelców lwowskich wspomina o dawnem już istnieniu ich stowarzyszenia. Przywilej ten przekonywa, że mieszczanie lwowscy nietylko z rusznic ale i z większych dział strzelali. Lecz do kurka, gdy chodziło o wybranie króla kurkowego, szanując odwieczny zwyczaj, strzelano tylko z łuków. Dopiero Henryk Walezy strzelanie z palnej broni w dniu tym zaprowadził. Od roku 1623 ćwiczono się w strzelaniu z dział i hakownic. Dawna konfraternia tem się różniła od dzisiejszego towarzystwa strzeleckiego, że była prawdziwą szkołą rycerską dla wszystkich mieszkańców, z wyjątkiem tylko starców i kalek. To też waleczność Lwowian znaną była w historyi a królowie polscy w niejednem przywileju zaznaczyli tę ich zasługę dla Polski, nazywając miasto przedmurzem chrześciańśtwa i narodu. Lud polski dotąd śpiewa kolędę jedyną w swoim rodzaju, bo mowa w niej o oblężeniu Lwowa i okupie danym przez mieszczan. Tomasz Kulczycki w dziełku pod tytułem: »Rys historyi towarzystwa strzeleckiego lwowskiego« (Lwów r. 1848) przedstawił zajmujący obraz urządzeń i życia braci strzelców.

Strzelanie do kurka rozpoczynało się corocznie w dzień św. Wawrzyńca i trwało przez trzy dni a każdy mieszczanin lwowski pełnoletni czy niepełnoletni, mógł zostać królem kurkowym. W uroczystości tej brała udział oraz biesiadowała razem z mieszczanami i szlachta. Strzelanie do celu z armat, których Lwów posiadał niemało, odbywało się w terminach i z zachowaniem przepisanych ustawami zwyczajów. Sędziowie, którzy stwierdzali celność strzałów, nazywani byli trafarzami. O zwy-

czaju strzelania do kurka w Poznaniu, mamy pierwszą wiadomość z wieku 15-go. W roku 1537 nadał magistrat poznański bractwu strzeleckiemu oddzielny statut. Król kurkowy uwolnionym tu został, jak wszędzie, od ceł i podatków, z wyjątkiem cła nowego. Ze statutu potwierdzonego przez Stefana Batorego roku 1578 pokazuje się, że w Poznaniu, jak wszędzie strzelano jeszcze wówczas do kurka z łuków a zabawa ta trwała cały tydzień, przeplatana ucztami, kapelą i rozrywkami, w których cała publiczność brała udział. Bractwo w skarbcu swoim posiadało między klejnotami łańcuch złoty o 58 ogniwach, wagi 116 dukatów, którym przepasywano każdego króla kurkowego, dwie laski marszałkowskie z bogatemi gałkami, noszone podczas publicznych wystąpień przez starszych bractwa i inne ozdoby, co wszystko zostało zrabowanem podczas wojny szwedzkiej za Augusta II-go. Bractwo strzeleckie w Kaliszu, zwane niekiedy Kołem rycerskiem, miało starożytny swój statut, który gdy w czasie wojen zaginął, przez Michała Korybuta odnowiony został na sejmie w roku 1672. W zachowanej księdze czyli albumie tegoż bractwa znajduje się spis wszystkich królów kurkowych od roku 1672 do 1771. Prócz tego »Książeczka trafarzów«, zaszczyconych tą godnością. W miastach wielkopolskich pod rządami pruskimi, bractwa strzeleckie przetrwały upadek Polski. Przestały jednakże strzelać do kurka, zamieniwszy go na tarczę, której środek czerwony, otoczony jest obwodem czarnym i największym białym.

Nie umieramy, lecz sami się zabijamy.

Jak często, niestety, wypada dzisiaj myśleć o zdaniu znakomitego lekarza Flourens'a, członka francuskiej akademii medycznej, twierdzącego, że ludzie w naszych czasach nie umierają, ale się sami zabijają. Istotnie, kto głębiej zastanowi się nad temi słowami, przyzna, że zawierają niezbitą prawdę. Ze starości umiera w naszym nowomodnym czasie mało tylko ludzi — większa zaś część zadaje cios życiu swemu, podkopując swe zdrowie.

W przyrodzie każdemu stworzeniu przeznaczoną jest śmierć lekka i łagodna przez stopniowe zanikanie wszelkich narządów. Czyżby człowiek, to arcydzieło Boskie, miał tu stanowić wyjątek! Otóż, znakomici lekarze angielscy dr. Smitt i dr. Arnott, wezwani przez rząd, aby zdali sprawozdanie co do trwałości życia ludzkiego, tak się w tym względzie wyrażają: »Gdyby ludzie żyli tak, jak powinni, nigdyby ich, od kolebki aż do grobu, ani choroby, ani cierpienia nie nawiedzały i mogliby żyć długo w spokoju i wesołości, ciesząc się zawsze zdrowiem, a szczęście ich nie byłoby niczem zamącone; siły ich żywotne zaczęłyby powoli wreszcie słabnąć, niknąć i zasypialiby bez boleści i bez konania snem wiecznym«. Wiemy także z doświadczenia, że starcy nad 80—90 lat umierają zwykle bez choroby, bez drgań i kurczy, często nie tracąc wcale koloru twarzy — umierają oni na uwiąd starczy. Zdaje się jakoby jeden dzień w życiu ludzkiem prawie nic, albo tylko mało co się odróżniał od swego poprzednika i następcy, a mimo to, przechodzimy, nie zatrzymując się, cztery pory naszego ziemskiego jestestwa: wiek dziecięcy, młodzieńczy, dojrzały i starczy — wiosnę, lato, jesień, zimę — a śmierć nie zapomina o nikim.

Gdy człowiek pomiędzy 30 tym, a 45-tym rokiem życia stanął na najwyższym szczeblu swego ukształtowania, wtenczas zaczyna powoli zstępować. U jednych rychlej, u innych zaś później tracą swą sprężystość ścianki naczyń krwionośnych, kruszeją przez ukła-

dające się tamże sole wapienne, włosy zwykle siwieją, skóra więdnieje i marszczy się, mięśnie wątleją, działalność narządów słabnie, a okulary, laska i wygodne krzesła stają się podporą znikającej siły. Stopniowo i powoli obumieramy, aż pewnego dnia gaśnie błogo płomyk już tylko słabo tlącego życia.

Ale jak szczupłą jest liczba tych, którzy w tak naturalny sposób życie swe kończą! »Kres wieku naszego jest lat siedmdziesiąt a najwyżej ośmdziesiąt«, śpiewa psalmista. Jednakowoż niewielu ludzi dosięga dzisiaj tego wieku. W Niemczech n. p. tylko 18 procent dosięga wieku naturalnego, 82 procent zaś umiera przed czasem. Obecnie przeciętny wiek ludzki trwa ledwo połowę naturalnego, u mężczyzn 35 i pół, u kobiet 38 lat.

Uwzględnić w tem trzeba, oczywiście, wielką śmiertelność dzieci. Otóż, umiera w pierwszym roku życia przeszło 30 procent dziatek, a w niektórych okolicach przemysłowych nawet 40 procent. Kto pierwszy rok życia przebył, ten może przeciętnie liczyć jeszcze na okrągło 46 lat życia, tak samo, jak ten kto przebył 10 rok życia. Takie obliczenie przeciętnego życia ma szczególną wartość dla towarzystw zabezpieczenia na życie. Dowiedziono tamże, na podstawie materyału w przypadkach milionowych, że młodzieńcy i dzieweczki 20 lat liczący, jeszcze 30 dalszych lat przeciętnie przed sobą mają, mężczyźni i kobiety w 30 roku jeszcze 31 i pół, 40-letni jeszcze 24 i pół, 50-letni jeszcze 18, 60 letni jeszcze 12, 70-letni 7, zaś 80-letni 4 lata, a kto nawet 90 lat dożył, może jeszcze liczyć na 2 lata i 4 miesiące dalszego życia.

Ale nie tylko wiek przeciętny stale się zmniejsza. O wiele smutniejszem jest stwierdzenie, że liczba zachorzeń ciągle i coraz bardziej wzrasta. Otóż, widzimy tu jedną z głównych prawd przyrody. Natura stara się wszelkiemi siłami o jak najdłuższe utrzymanie każdego stworzenia. Nie przecina ona za każdy występek natychmiast nici życia, ale wytwarza n. p. większą gorączkę, przez którą materye obce się rozkładają i następnie z ciała wyrzucone być mogą w kształcie wrzodów, obrzmień, opuchlin i t. p. Jest to charakterystyką



DWIE SIEROTKI.

naszego cywilizowanego wieku zwyrodnienia, że stany te, nazwane »chorobą,« są największym naszym postrachem. Chorób obawiają się ludzie bardziej niż śmierci. U narodów pierwotnych, jako też u zwierząt w swobodzie żyjących, są choroby rzadkimi wypadkami, pomiędzy ludźmi zaś nowomodnej kultury rzadko kto jest całe swe życie zdrowym. Im wyżej kultura się wzmogła, tem więcej człowiek oddalił się od na-

tury. Od czasu, jak silimy się sztucznie sobie stwarzać pokarm i napój, pracę i spoczynek, a przedewszystkiem lekarstwo, szkodzimy sobie ciągle. Nie umieramy już, ale się zabijamy, gdyż »próżne życie jest przedwczesną śmiercią«.

Jak dalece wysoką jest liczba wypadków zachorzeń, widać z ostatniego zestawienia zabezpieczenia na wypadek choroby w państwie niemieckiem z roku 1894. Na 7 milionów 282,609 robotników, zabezpieczonych w 21,552 kasach było 2 miliony i 492,308 zachorzeń. Na każdego zaś członka przypadało 6 dni choroby, co stanowi w całości 43 miliony i 686,440 dni. Na same lekarstwa wydano w tym jednym roku 17,430,000 marek. A zatem w Niemczech pożera choroba rocznie przeszło miliard marek. U nas Polaków stosunek ten prawdopodobnie jeszcze gorzej się przedstawia. Jest to zatem rzeczą największej doniosłości, zastanowić się nad przyczynami faktów tych, siłę narodu tak bardzo niszczących.

Choroby nie są złem nieuniknionem; nie jest to bynajmniej smutną koniecznością, że n. p. w Niemczech obecnie pięć ćwierci miliona, a w samym tylko Berlinie 25,000 suchotników się znajduje. Choroby nie są niczem innem jak tylko skutkami przestąpienia praw przyrody. Atoli nieznajomość w tym kierunku jest po dziś dzień niezmiernie wielką. Nawet pod względem najpotrzebniejszego zdrowoznawstwa panuje jeszcze ogromna ciemnota i to nawet u »oświeconych«. Cywilizowany człowiek na schyłku 19 stulecia zna prawie lepiej wnętrze Afryki, niż wnętrze swego ciała. Błędy w wychowaniu cielesnem dzieci, od niemowlęctwa począwszy: w wyborze środków spożywczych, w ubiorze, w urządzaniu pomieszkań i t. p., należą, z małymi wyjątkami, do porządku, albo raczej do nieporządku dziennego; kto zaś, wytykając te błędy, każe szanować i zachowywać prawa przyrody, ten ma dzisiaj bardzo trudne stanowisko. Większa część ludzi bowiem ma błędne przekonanie, że zdrowia sobie kupić można z apteki, albo też u jakiego sławnego lekarza. Tymczasem, cała sztuka przedłużenia życia polega na tem, żeby go nie skracać. Wszelkie uchylenie się od naturalnych warunków życia, pociąga za sobą przeszkodę w naturalnym biegu żywota naszego. Zakres działania trucizn jest co prawda bardzo obszerny, a wyrozumiała przyroda stosuje się często widocznie do obcych i zwykle szkodliwych tych rzeczy. Wiemy n. p., że król Mitridates, ze strachu przed otruciem, do tak wielkich dawek trucizny przyzwyczaił się, że 20-ta część tychże zabiłaby zwykłego śmiertelnika; to samo dzieje się z morfinistami, zjadaczami arszeniku, palaczami opium i tytoniu, jako też piwoszami i »sznapsistami«. Wszystko ma jednakże, swą granicę, a przyczyn chorób nie możemy rozpoznać ani im zapobiedz, jeżeli nie poznamy warunków zdrowia.

Otóż to powinno być właśnie celem dążeń naszych. Rozpoznanie zaś prawdy i praw rządzących ustrojem człowieka, aby można należycie wypełniać rozkazy przyrody — musi być najpierwszą powinnością każdego, kto nie chce się stać samobójcą.

SĄD W PACANOWIE.

Już nam to weszło w przysłowie,
Że raz w mieście Pacanowie,
Gdzie nie bez sromotnej zgrozy
Zawsze dotąd kują kozy,
Miano powiesić ślusarza,
Lecz że jak się często zdarza,
Słabszego mocniejszy zwala —
Więc powieszono kowala. —
Zkąd wyrok taki nieprawy?...
Każdy, wiem nie bez obawy,
Zdarzenie to przypomina;
Musi być jakaś przyczyna —

Niejeden sobie uważa,
Bo kowala za ślusarza
Karać, jeszcze szubienicą,
Niech się z tem dzieje nie szczycą
Sławetnej pamięci miasta,
To jest zgroza, na tem basta! —
Nie basta, moi Panowie!
Co się stało w Pacanowie, —
To się dzieje w całem świecie;
Jeżeli mi więc zechcecie
Dać posłuchanie łaskawe,
Opowiem wam całą sprawę. —
Mniej więcej przed sześćset laty,
Bo nie mogę wiedzieć daty
Z dziejopisa mego księgi,
Co sam pewnie dla mitręgi
Nie chciał łamać nad tem głowy,
Stał się przypadek takowy:
W czwartą po Świątkach niedzielę
Wpadło nieuważne cielę
Do ogrodu burmistrzowi;
Nie jak wieść fałszywa mówi,
Żeby na ten czyn nieśmiała
Koza odważyć się miała.
Sam pan burmistrz na tej szkodzie,
Zastawszy cielę w ogrodzie,
Wezwał na świadectwo żonę:
»Jako wszystko potłuczone,
Że nawet rozmaryn, rutę,
Cielę chociaż nie podkute,
Co nie zjadło, podeptało«.
A więc tę szkodę niemałą
Ogłosił po całem mieście,
Wartującą złotych dwieście.
Że cielę było ślusarza,
Za tem do niego utwarza
Prawo o wynagrodzenie,
I to w podwojonej cenie,
Z przyczyn, że ślusarz bogaty,
Jak wieść niosła, miał dukaty...
Co nie były żadne baśnie.
Lecz przypadek zdarzył właśnie,
Że o tej samej godzinie
I przy takim samym czynie,
Ślusarz złapał także krowę
I trzy kozy burmistrzowe
Na swojej prawej własności...
Ztąd nawzajem sobie rości,
Nie naruszając sumienia,
Trzysta złotych uszkodzenia.
Kłótnia okropna powstała,
Pan majster sztuka zuchwała,
Zająwszy bydło ze szkody,
Układa słowne wywody
Nawzajem ze swojej strony,
W których czyn był dowiedziony, —
Że to ów był wiek szczęśliwy
Gdzie nie były żadne dziwy,
Iż między tysiącem osób
Rzadko jedna znała sposób
Mieszczenia słów na papierze,
Więc pan majster świadków bierze
Na obradę do szynkowni;
Tam ludzie w zdaniach gruntowni,
Mianowicie pan Ignacy,
Sławny kowal z swojej pracy,
Człowiek niezmiernej wymowy,
Wszystko poświadczać gotowy
Za szklankę miodu lub wódki,
Zapowiada bez ogródki
Całej zgromadzonej radzie,
Iż w tak zbyt zaciętej zwadzie,
Dla wynagrodzenia obu,
Nie zna innego sposobu
Nad jeden tylko takowy:
Ażeby pan burmistrz krowy
I trzech kóz zrzekł się własności,
A że sobie wzajem rości
Do wynagrodzenia wiele,
Ma otrzymać za to cielę. —
Wszyscy przyjęli to zdanie,
Nawet ślusarz przystał na nie.
Gdy się tak kończy obrada,
Burmistrz do szynkowni wpada
Z miejskim sługą uzbrojony;
I nie wdając się w androny,
Zaledwie ślusarza zoczył,
Pędem do niego przyskoczył.
»A tuś!« krzyknie na głos cały. —
W tem pałką twardszą od skały,
Jak go wytnie całą siłą,
Aż mu się z niej zakurzyło. —
Lecz ten pewny bitwy losu,
Nie czekał drugiego ciosu;
Wściekłym się gniewem zapala,
I wyrwawszy z rąk kowala
Pełną szklanicę medery,
Której mu przyjaciel szczery
Z żalem ustępował serca,
Wymierza srogi morderca
Prosto burmistrzowi w pałę;
Ale tu szczęście niestałe
Biednego sługę nawija,
Srogi cios tyrana mija
I trafia biedaka w ciemię,
Że wraz upadłszy na ziemię
Ręką ruszył, nogą kiwnął
I życie z siebie wyziewnął. —
Tu wszystkim ręce opadły,
Zdumiał się ślusarz zajadły,
Pan burmistrz został jak wryty,
Wszyscy krzyknęli: »Zabity!«
Kowala tylko zasmucił
Miodek, że mu się nie wrócił;
Ani pomyślał tej chwili,
Że za to, iż się pobili,
Pan burmistrz z swym przeciwnikiem
On miał zostać męczennikiem. —
Jakoż na tem kończąc zwadę,
Pan burmistrz zwołuje radę,
A nim osądzą tę zgrozę,
Mężny ślusarz idzie w kozę.
Wiemy to już z dawnych dziejów,
Że wśród licznych przywilejów,

Jakie dla wzrostu i chwały
Nasze miasta posiadały,
Było także prawo miecza,
Co od zbrodni ubezpiecza.
Schodzą się przeto sędziowie
W naszem mieście Pacanowie;
Burmistrz zasiada na czele,
Choć w tej sprawie był o cielę
Stroną interesowaną,
Ale na to nie zważano.
Gdyż tu syndyk wniósł otwarcie,
Że nie masz na żadnej karcie
Do końca praw od początku
W takiem zdarzeniu wyjątku. —
Z rajców nikt nie umiał czytać,
Aby się o dowód pytać. —
Przystąpiono więc do sprawy,
Ławnicy zasiedli ławy,
Pan syndyk w szarej opończy
Całe grono sędziów kończy,
A że sam czyn udowadnia,
Iż widoczną była zbrodnia,
Zatem dla pospiechu dzieła
Cała rada przedsięwzięła
Nie wchodzić w żadne badania,
Lecz zacząć od kreskowania. —
Tak bez dalszych ceregieli
Wszyscy sędziowie krzyknęli:
»Ślusarz godzien szubienicy!«
W tem słychać gwar na ulicy,
Mocny odgłos powstał wszędzie,
Że ślusarz wisieć nie będzie:
»Kogo chcecie to powieście,
On sam jeden w całem mieście,
Nie masz drugiego tak blisko.« —
A że dobre burmistrzysko
Za swoją w ogrodzie szkodę
Już miał w kieszeni nagrodę,
Którą ślusarza obawa,
By nie paść ofiarą prawa,
W ważnem obrączkowem złocie
Podsunęła mu w istocie;
W nim pierwszym zaraz mieszczanie
Wzbudzili umiarkowanie. —
»Stójcie (zawoła) sędziowie,
Kto inny tu nam odpowie,
Vox populi est vox dei,
Zacznijmy z nowej kolei.«
Ten burmistrza czyn wspaniały
W zdumienie wprawia sąd cały.
»Mamy w mieście dwóch kowali,
Odezwie się burmistrz dalej,
Że zaś w czasie owej zwady
Pomiędzy nami sąsiady
Kowal trzymał szklankę z miodem,
A ztąd jasnym jest dowodem,
Że tę szklankę uchwyciwszy
Ślusarz, człowiek najpoczciwszy,
Popełnił zabójstwa zbrodnię,
Co przekonywa dowodnie,
Że tu rzecz się ma inaczej,
Niech zatem światły sąd raczy
Zmienić wyrok na ślusarza.« —
»Samo go prawo umarza,
Przyda pan syndyk z swej strony,
Bo ten występek spełniony
Istotnie jest przez kowala;
Więc jego wieszać pozwala,
Tem bardziej — krzyknie nareszcie,
Ponieważ ich dwóch jest w mieście,
Nie zgrzeszymy nic w tym względzie,
Że jeden z nich wisieć będzie.« —
Na tak prawne przełożenia
Sąd natychmiast wyrok zmienia
I wydaje go w tej treści:
»Ponieważ się u nas mieści
Jeden ślusarz, dwóch kowali,
Za tem wszyscyśmy uznali
Jednomyślnie, jednozgodnie,
Aby za zabójstwa zbrodnię,
W mieście naszem popełnioną,
Jednego z nich powieszono! —
Że zaś sąd rozpoznał z prawa,
Iż ta cała zbrodnia krwawa
Na Ignacego kowala
Najsprawiedliwiej się zwala,
Który z tą tylko różnicą,
Że nie swą własną prawicą,
Lecz co tem bardziej obraża,
Przez poczciwego ślusarza
Alias przez ręce cudze
Zadał śmierć miejskiemu słudze, —
Przeto sąd wyrok uczynił,
Aby cierpiał, jak zawinił;
To jest bez żadnej obrony
Ma być zaraz powieszony...« —
Jakoż w tej samej godzinie
Kowal za ślusarza ginie
W boleściach na szubienicy.
Odtąd wszyscy rzemieślnicy
Łatwo się domyślić czemu,
Mieszkali tam po jednemu.
Tak to dawniej osądzali,
Że za ślusarzów kowali
Spotykał wyrok surowy
Na utratę czci i głowy.
Poległo takich nie mało.
Komu źle z oczu patrzało,
Tem samem godny był kary...
Mówią, że ten zwyczaj stary
Już teraz jest zarzucony...
Karzą i dziś bez obrony!...
Chociaż z oświeceńszym wiekiem
Zawsze człowiek jest człowiekiem;
Są i dziś tacy sędziowie,
Co sądzą jak w Pacanowie!...

(„Pszczółka Krakowska.“ Rok 1820).

ZŁUDZENIE ÓCZ.

Na kilku figurach, obok podanych, łatwo się przekonać, jak oko ludzkie w błąd wprowadzone być może.

Fig 1.

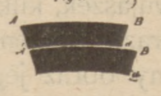
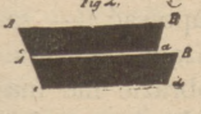


Fig 2.



Patrząc na figurę 1, zdaje się, że górny skrawek czarny jest znacznie krótszy od dolnego. Tak samo przy figurze 2. Tymczasem w istocie tak przy jednej, jak przy drugiej figurze oba skrawki są całkiem równe. O tem może się każdy łatwo przeświadczyć, gdy je wytnie i na sobie położy.

Oczom widza przedstawiły by się oba czarne skrawki jako równe, gdyby punkta początkowe linii A B i c d dokładnie ponad sobą leżały. W rzeczywistości ma linia krótsza c d i dłuższa A B równe punkta początkowe, skutkiem czego jeden ze skrawków na bok jest posunięty i sprawia wrażenie, jakoby linie były nierówne.

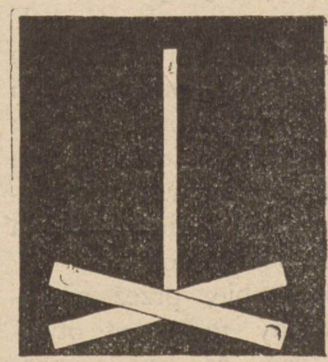
Także w figurze 3 są wszystkie trzy kawałki zupełnie równo długie, natomiast stojący prostopadle tylko pół tak szeroki, jak dwa leżące. Lecz oku widza się zdaje, jakoby był znacznie dłuższy od tamtych dwóch.

Fig. 3.



Podobnie ma się rzecz przy figurze 3a i 3b. W figurze 3a zdaje się, że stojący prostopadle, wąski skrawek jest dłuższy, niż dwa leżące. W figurze 3b zaś wydaje się środkowy krótszy, niż dwa boczne. W rzeczywistości są wszystkie te skrawki zupełnie równe.

Bardzo zajmująco przedstawiają się figury 4 i 5. Przy figurze 4 widzi oko nasze dwie linie, poprzekreślane małemi linijkami, biegnącemi przy jednej z lewej na prawą, przy drugiej z prawej na lewą stronę. Każdy patrzący gotówby zaręczać, że linie nie są równoległe, lecz że zwężają się ku dołowi. Tymczasem po prawdzie są one zupełnie równoległe i jedynie skutkiem owych kresek wywołują w oku złudzenie, jakoby ku dołowi się zbliżały.



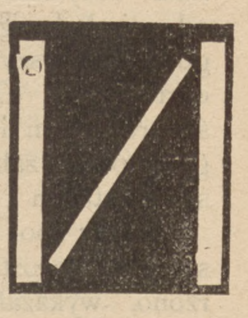


Fig. 3a. Fig. 3b.

Gdyby poprzeczne kreski w przeciwnym kierunku dwie główne linie przecinały, oczom naszym zdawałoby się, że linie u góry bliższe, ku dołowi od siebie się oddalają.

Przy górnej figurze 5 zdaje się oku, że w środku obie linie są od siebie najwięcej oddalone a ku końcom się zbliżają; przy dolnej figurze zaś odnoszą oczy przeciwne wrażenie. W jednym i drugim razie polega wszystko na złudzeniu, albowiem tak przy górnej, jak i dolnej figurze 5 są linie zupełnie równoległe.

Fig 4.

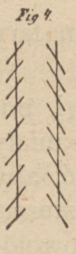
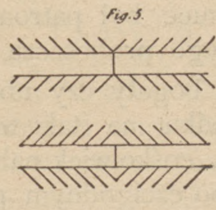


Fig. 5.



Sztukmistrze i nowomodni czarodzieje wykonują wiele swoich »sztuk« opierając je na podobnych złudzeniach.

OBRAZ NIEBOSZCZYKA.

Któż na większe zasługuje poważanie lub komu większa należy się cześć jak kapłanowi, w bezustannych troskach o zbawienie i dobro dusz powierzonej sobie parafii posiwiałemu?

Takiego kapłana posiadała wioska H. od blisko lat czterdziestu. Nieomal przez pół wieku pracował zacny ksiądz proboszcz w niewielkiej parafii nad religijnem wychowaniem swych owieczek. Znał wszystkich do parafii należących od najmłodszego do najstarszego, a oni go także wszyscy znali, poważali i jak ojca kochali. To też gdy nieubłagana śmierć latami i mozołem przygnębionego kapłana zabrała, cała wioska okryła się smutkiem i głęboką żałobą.

Kiedy po pogrzebie, przez nieboszczyka pozostawiony testament otworzono, wykazało się, że ksiądz proboszcz całe swoje mienie św. męczennikowi Wawrzyńcowi zapisał. Testament bowiem opiewał, że ruchoma posiadłość spadkodawcy w drodze licytacyi sprzedaną być miała. Za zebrane pieniądze według dalszego rozporządzenia powinna była parafia zakupić figurę świętego Wawrzyńca i takową w wielkim ołtarzu kościoła umieścić.

Św. Wawrzyniec był patronem fary i zarazem zmarłego proboszcza.

Więc każdy, bogaty czy ubogi, postanowił ze spadku na tak wspaniały cel przekazanego, cośkolwiek nabyć, aby mieć pamiątkę po czcigodnym pasterzu.

Tylko jeden z obecnych zadowolonym z testamentu się być nie zdawał, bo z zasępionem czołem i mrukliwie w urzędnika odczytującego ostatnią wolę proboszcza się wpatrywał.

Był to młody człowiek, bratanek nieboszczyka, przez tegoż za życia hojnemi dobrodziejstwami obsypywany. Jako bliski krewny zmarłego tuszył sobie, że posiada więcej prawa do spadku aniżeli św. Wawrzyniec. Tymczasem nic mu się nie dostało. Ztąd gniew i żal do nieboszczyka.

To też nie mało się oburzył, kiedy nauczyciel przysunąwszy się do niego, rzekł:

— Panie Arturze, niezapomniany nasz proboszcz, a pański wujaszek, kilkakrotnie w obec mnie wyraził życzenie, abyś pan doskonale udany obraz jego dla siebie na pamiątkę zakupił.

— Ja mam obraz kupować, — zawołał młodzieniec, lekceważąco się uśmiechając. — Cóż mi po obrazie nie mającym dla mnie najmniejszej wartości?

Słowa te wywarły na nauczycielu przykre wrażenie. Nie dał jednak odpowiedzi, tylko smutnie od młodzieńca się odwrócił.

Jeżeli obraz dobroczyńcy dla krewnego, którego zmarły przez tyle lat utrzymywał i wspierał, znaczenia nie posiadał, czyż mógł dla człowieka obcego jakąśkolwiek mieć wartość?

Rozpoczęto aukcyę od przedmiotów podrzędnych; potem licytowano pościel, książki, meble i cenniejsze sprzęty domowe. Resztę zaś razem z obrazami postanowiono po południu sprzedać.

Wtem rozkazał pan Artur, ów księży bratanek, Józefowi, pierwszemu parobkowi zaprzęgać, aby go do sąsiedniego miasteczka odwiózł. Józef, będąc najstarszym sługą na probostwie, pełnym przywiązania i wiernego posłuszeństwa względem nieboszczyka, panu Arturowi nie bardzo sprzyjał i niechętnie od niego rozkazy przyjmował. Co go zaś najmocniej zafrasowało, oto, że nie mógł być obecnym przy sprzedaży obrazu proboszcza, który on właśnie zakupić pragnął. Wręcz być nieposłusznym, nie uchodziło, więc, chociaż niechętnie i mrukliwie, do wyjazdu się zabrał. Ale nasamprzód pobiegł do nauczyciela z prośbą, aby przy licytacyi rzeczony obraz dla niego kupił.

— Dobrze, Józefie, — rzekł nauczyciel, — jak najchętniej wam tę przysługę uczynię.

Ujechali już byli spory kawał drogi, kiedy po za wsią spotkali kościelnego. Józef zeskoczył natychmiast z woza i szepnął kościelnemu do ucha:

— Nad życie bym chętnie obraz proboszcza naszego posiadał, uczyńcie, kumotrze, to dla mnie i postarajcie się w mem zastępstwie, aby mi się dostał.

— Jakże wysoko mam licytować? — zapytał kościelny.

— A no, jak wysoko pójdzie, — odparł Józef, wskoczył czemprędzej na wóz i pojechał dalej.

Pod sam wieczór przyszła kolej sprzedaży na obraz przedstawiający księdza proboszcza.

— Ośm złotych, — zawołał urzędnik, a w okamgnieniu kilkadziesiąt głosów, wzajemnie się podwyższających, cenę obrazu do sześćdziesięciu złotych doprowadziło. Zaiste wzruszający objaw wdzięczności parafii względem dobrego pasterza.

Potem już tylko cztery, wreszcie trzy głosy można było usłyszeć.

— Siedemdziesiąt złotych, — podał jakiś zamożny gospodarz.

— Siedemdziesiąt jeden, — odezwał się kościelny.

— Siedemdziesiąt dwa, — zawołał nauczyciel na podanie kościelnego, jak gdyby dzieci w szkole liczenia uczył, tak spokojnie i poważnie zawsze o jeden złoty wyżej się posuwając. Dwaj licytujący, kościelny i nauczyciel, doszli rzeczywiście aż do dziewięćdziesiąt ośm złotych. Wtem otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi Józef. Po przyspieszonym oddechu i zarumienionej twarzy poznać było, że podążał, aby przy licytacyi być obecnym.

— Bogu dzięki, — rzekł sam do siebie, — jeszczem na czas przybył.

— Dziewięćdziesiąt dziewięć złotych — głosił urzędnik, — po raz pierwszy, po raz drugi, po raz...

— Sto, — przerwał Józef silnym głosem.

— Sto złotych po raz pierwszy, po raz drugi, po raz trzeci. Obraz przeszedł na własność Józefa. Wysoka to była cena, drogi obraz. To też obecni gospodarze i gospodynie nie mogli wyjść z zadziwienia, że ubogi parobek tyle pieniędzy za obraz zmarłego wydać nie żałował. U wszystkich obecnych szacunek dla Józefa znacznie się powiększył.

Wtem daje urzędnik, przewodniczący całej licytacyi, dzwonkiem znak, że jeszcze coś pragnie nadmienić.

— Licytacya skończona, — przemówił do obecnych, — ale nim się rozejdziemy, powinienem wam oznajmić co następuje: Do testamentu nieboszczyka jest dodatek dołączony, w kształcie opieczętowanej paczki, przeznaczony dla tego, kto obraz nieboszczyka zakupił.

Po zdjęciu pieczęci pokazało się, że w paczce owej pięć set złotych w banknotach się mieściło, które natychmiast poczciwemu Józefowi niejako w nagrodę za wierność i przywiązanie do nieboszczyka wręczone zostały.

ROZMAITOŚCI.

* **Wici.** Starożytnym obyczajem szlachta zwoływała się na wojnę przez listy z królewską pieczęcią po starostwach obnoszone na wysokiej wiesze czyli wici, niby dawnej »lasce opolnej.« Woźny czyli sługa ziemski obnosił je po dygnitarzach, urzędnikach, urzędach i znakomitszej szlachcie a na rynkach miast i miasteczek wielkim głosem obwoływał. Wić miała symboliczne znaczenie kary w razie nieposłuszeństwa rozkazowi. Gdy stany sejmujące uchwaliły wojnę i pospolite ruszenie, wtedy król, a w czasie bezkrólewia prymas, rozsyłał troje wici, co dwa tygodnie jedne po drugich, czyli po pierwszych we dwie niedziele drugie, wici, a w cztery niedziele, wici ostatnie, chyba że sejm dozwolił królowi dla pośpiechu w zebraniu pospolitego ruszenia, wysłać jedne wici za dwoje lub troje, jak to raz wydarzyło się za Zygmunta Starego w r. 1544. Pierwsze i wtóre wici nakazywały wojenną gotowość. Trzecie wzywały do natychmiastowego ruszenia, wskazując miejsce zboru. Tam każda ziemia czyniła popis przed swym kasztelanem, a województwo całe przed wojewodą i pod dowództwem swych kasztelanów i wojewody ciągnęło rycerstwo na miejsce wska-

zane przez króla, gdzie król i hetmani obejmowali dowództwo. Kto miał dobra w kilku ziemiach, ten stawał osobiście z tych dóbr, gdzie go wici zastały. Z innych zaś, na zasadzie uchwały sejmowej z roku 1510, winien był dać zastępcę.

FRASZKI.

* **Apetyt.** W pewnem towarzystwie, opowiadano o człowieku, który niesłychanie wiele jadł, iż wszystkich w prawiał w zdumienie.

— To nie jest jeszcze nic dziwnego, — rzekł jeden z obecnych oficerów, w mojej kompanii jest żołnierz, który całe cielę zjeść potrafi.

Wszyscy obecni nie chcieli temu wierzyć; stanął więc zakład. W oznaczonym dniu udali się wszyscy do jadalni, gdzie zakład miał się rozegrać. Oficer chcąc jeszcze bardziej apetyt żarłoka podniecić, kazał mięso z cielęcia w najrozmaitszy sposób rozmaitymi sosami przyprawić. Żołnierz usiadł sobie przy stole i pożerał jeden półmisek za drugim z niesłychaną szybkością, ku ogólnemu wszystkich zdziwieniu. Gdy już zjadł trzy czwarte cielęcia odwrócił się do swego kapitana i rzekł:

— No teraz byłby już przecie czas przynieść to cielę, gdyż inaczej nie ręczę, że zakład wygram!

* **Wracam z wystawy paryskiej,** widziałem tam maszynę, która, gdy z jednej strony wrzucimy do niej snop pszenicy i raz obrócimy kołem z drugiej strony wyrzuca świeże bułki!

— A ja widziałem w Londynie lepszą. — Do niej wkładało się z jednej strony winogrona a z drugiej strony po obróceniu kołem wyciągano pijanego winem człowieka z kieliszkiem i butelką w ręku.

Przygoda żandarma.



1. »Mam cię ptaszku, złaźże z drzewa!«
Tak żandarm do Fryca śpiewa;
Ale Fryc hultaj nielada
Nie słucha i jeszcze gada.



2. »Kto chce zemną gadać, panie,
Niech na drzewo się dostanie.«
Żandarm tedy z konia zsiada
I ku Frycowi się skrada.



3. Już jest blisko, już go łapie...
Wtem Fryc z drzewa i na szkapie
Żandarmowskiej co tchu w nogi
Żandarm rozpacza niebogi...

* **Z opowiadań myśliwego.** Idąc sobie raz panie lasem, wedle Maćkowego dęba, patrzę — stoi sarna i mech skubie. Przyłożyłem flintę do oka, wygarnąłem — sarna stoi. Wygarnąłem drugi raz — ani drgnie. Oszalała głupia koza, czy co? myślę sobie. Przybiłem trzeci raz — buch! — nic. Znowu buch! i znowu nic. Wystrzelałem piętnaście nabojów, a ta głupia, ani się ruszyła. A czy wiecie panowie dobrodzieje, dlaczego? Oto poprostu: głuche było bestyjstwo, jak pień!

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 27-go Maja 1897. Nr. 21.

„ŚWIATŁO" wychodzi dwa razy na miesiąc w Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi z przesyłką pocztową 85 centów. — Pojedyńczy zeszyt kosztuje 15 centów. — Główny skład na Galicyą i Bukowinę znajduje się w księgarni panów Kubaczki i Langa w Białej (Galicya). — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 10 cent. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Chłop i djabeł.

Podanie gminne z Wielkopolski.

(Dokończenie.)

O Tomku dziwnie lud we wsi plecie. Stare kumoszki widują go często: to w ognistym płomieniu, rozmawiającego na polu z okropnym djabłem; to jak z ogromnemi skrzydły leci po nad lasem; to znowu wysoko, wysoko stojącego gdzieś w obłokach z szatańskim uśmiechem na licu; gospodarze zaś znów w nocy słyszą, jak rachuje nieprzeliczone skarby i znów ukrywa w zakątach domu, czy w ziemi.

Tomek, chociaż dziś pan bogaty, nie zmienił dawnego obyczaju; jak był tak jest sobie prostym i pracowitym chłopkiem. Tylko że nie dba o Boga; ksiądz z ambony rzuca nań klątwy, on ani zajrzy do Pańskiej świątyni.

Już się ma dobrze pod Wrzesień; bliżej uważający sąsiedzi powiadają, że Tomkowi coś strasznego roztacza duszę, bo bardzo zesmutniał; często nawet jak obłąkany chodzi po polach; nieraz go noc tam zaskoczy. Lecz któż odgadnie, co go tam dręczy? Tak mówią ludzie. Tymczasem na łanach coraz to widniej; zboże po zbożu schodzi do stodół, blade tylko po sobie zostawiając ściernia. Z drzew także znika zieloność, liść po liściu żółknie i za każdym wiatru powiewem w coraz liczniejszych gromadach na ziemię się sypie; a psotny wiaterek, jakby go radowała ta igraszka, coraz to silniej podmuchuje. Aż przybiegą mu w pomoc szrony i na drzewach już tylko gołe pozostały gałęzie.

Cudny był ranek. Słonko dopiero co wstało z różanego posłania, a już tak mile spogląda na osierociałą naturę! Wiatr od północy się zerwał i mroźno dąć począł, gdy zajrzał w czarujące jego liczko, i mimowolnie ogrzane mu opadły skrzydła, i tylko ciepławym chłodem muska rankiem ozłocone trawki. Skowronek, smutnie przyczajony na niwie, chociaż się zdawna już wyprzysiągł śpiewu, teraz mimowolnie w niebo podleciał; dzwoni wesołą piosnkę swojej królowej. Jastrząbki go widzą ze szczytu olsz, przecież nie gonią, bo patrząc na świetną dnia gwiazdę, zapomniały o żarłoczności. Wróble nawet te prostaki bez głosu, rozkosznie dziś skaczą po dachach i jak mogą wyświstują, a skurczona na wierzchołku gruszy wrona, chrypkiem dopomaga im krakaniem. Po nad niskiemi strzechy wioszczyny, w powietrzu dymy w niebieskawe układają się kolumny, jaskółki gromadami spędzają, a w dole, po zagrodach, dziewczęta wydajają krowy, uprzątają podwórka i ponucając, raz po raz spojrzą, czy tam gdzie przez płot nie zagląda Jonek lub Ignacy, a bliski kiermasz warczy im w sercach, jak głośne skrzypki Szymka przy tańcu. Czasem się koło nich przetoczy zamyślony gospodarz, czasem przebiegnie żywo jego krzepka żona i dziewkom krzątać się każe, nawet i dobrze ofuka, gdy bezczynne zoczy.

Z porannym brzaskiem już i Tomek, jak zwykle w podwórzu. Spojrzał na słońce i ciężko mu na sercu; ono tak czyste, w jego duszy tak ciemno! Posłyszał wesołe śpiewy sąsiadów, miłe rozmowy gospodarzy z gospodyniami, i łzy mu w oczach się kręcą.

Zadumał się i pomyślał: Jakżeż szczęśliwi, choć stokroć ubożsi odemnie; a ja?... I cóż mi przyniosło to złoto, co tam bez użytku leży?... W samotności płyną moje lata; nie ma do kogo ust otworzyć; nie ma podpory w starości...

Ale wtem pociemniało dokoła; wicher strasznie zawył i groźnie potrząsł gałęziami, i djabeł stanął przed Tomkiem taki sam, jak przed rokiem.

— No, kmoterku! liście z drzew opadło; przychodzę po dług mój.

Chłop spojrzał na niego, śmiejąc się odpowiedział zimno; O kumku, nim z wszystkich drzew liście obleci, pierw nam obojgu dobrze posiwieć trzeba.

— Co? — krzyknął przelękniony wierzyciel – co ty gadasz? wskaż mi choć jeden na drzewie.

— Hoho, nie jeden! — śmiejąc się rzekł Tomek, ale i sto wam pokażę kumku. Chodźcie no tylko!

I wyszli żwawo z zagrody, przez pole, po nad łąkami, biegną obydwaj, aż stanęli w ogromnym lesie sosnowym. Tomek rzekł djabłu, wskazując na drzewa: A co kumku? Czy widzicie, ile ich tu jeszcze?

— Ha! — ryknął djabeł, – czemużem osieł prędzej o tem nie wiedział. Ale poczekajno chamie! jeszcześ mi nie uszedł.

I porwawszy się z wściekłością, wskoczył na sosnę i począł zrywać ostre iglice. Lecz jeszcze trzeciej nie oberwał części, gdy cały krwią zbroczony po nogach i łapach i łbie pokłuty, ryknął z rozpaczą:

— Przeklęty chłopie! niech ciebie piorun zatrzaśnie! widzę, że jesteś mądrzejszy. Nie chcę pieniędzy ani nawet twej duszy.

I nie obejrzawszy się więcej z grzmotem odleciał.

Tomek w zadumaniu powracał do domu. Wieczór nadchodzi; niebo się wyjaśniło, znowu tak pięknie jak nad rankiem. Tomkowi znów ciężko na sercu, te same troski co wtenczas ściskają mu duszę. Spojrzał na wioskę i mimowolnie oko jego spoczęło na krzyżu kościółka. Tomek go nie odwrócił, jak dawniej, bo jakaś wyższa władza rozkruszyła zatwardziałe serce i po tylu latach, w duszy grzesznika zajaśniała znów myśl o Bogu. Za nią stanęły: odszczepieństwo od wiary i kościoła, starość, przyszłość okropna! Żal ścisnął serce chłopa, padł na kolana, złożył ręce, wzniósł oko do nieba i modli się gorąco o przebaczenie win.

O północy dopiero posłyszano w podwórku Tomka zgrzyt fórtki i wchodzącego do chaty gospodarza.

* * *

Dzisiaj odpust w parafii. W kościołku ludu pełno, i starych i młodych, mężczyzn i kobiet, a wszystkich twarze podziwem zamroczone, wszyscy do siebie z cicha coś szepcą i oczy w jedno obracają miejsce. Tam ksiądz w spowiednicy siedzi, przy nim klęczy chłopek już w latach, lecz jeszcze krzepkiej postaci, w modrej sukmanie z pętlicami, na którą spływa włos posiwiały z obliczem pełnem skruchy i boleści, z złożonemi na krzyż rękoma, kapłan odmówił nad nim modlitwę po łacinie i przeżegnał. Chłopek się przybliżył i zaczyna spowiedź. Ksiądz grzesznika słucha; widzi, że coś strasznego wyznaje, bo po obliczu kapłana bladość i oburzenie na przemiany błyska: zimny pot leje się strumieniem, a oko strasznym sądem jaśnieje. Organista na chórze już szóstą pieśń z ludem kończy. Pasterz jeszcze nie uwalnia grzesznika, wyznał nareszcie wszystko. Ksiądz z wrytą w ołtarz źrenicą znowu po łacinie nad nim odmawia modlitwy, żegna po trzykroć, podczas gdy chłopek z pochyloną do ziemi twarzą silnie się uderza w piersi i Boga o przebaczenie prosi. Ksiądz się oddalił do ołtarza, rozpoczyna mszę świętą. Chłopek padł krzyżem i przez cały ciąg ofiary leżał.

Po nabożeństwie chłopki do karczmy się schodzą, długie obsiadają stoły i przy półkwaterkach gorzałki coraz głośniej to o tem, to owem gwarzą.

— Ale mi też powiedzcie, Jasiu, — rzekł Kuba, — cóż się stało z tym zakamieniałym bezbożnikiem, tym kmieciem?

— A nu — odrzekł Jan — przyszedł rozum na stare lata, i upamiętał się przecież.

— Nie kumotrze — odparł znów Kuba — choćem tego człeka nigdy cierpieć nie mógł, przecież dziś, jak'em go tak skruszonego zoczył przed spowiednicą, gwałtem mi się łzy z oczu rwały.

— Ho — zawołał Ignacy — dość też sobaka nabroiła złego; żeby mu tylko dobrodziej dobrze tam był natarł uszu. Nie ma go co żałować.

— Kumotrze, — przerwał Jan — kiedy mu Pan Bóg przebaczył, nam się już nań bluźnić nie godzi; owszem jako nawróconego brata przyjąć znów do siebie.

— Co to, to już pono nie będzie podobno, mój Jasiu — odparł Ignacy. — Zaraz po kościele zniknął, i jak powiadają, podobno już więcej nie wróci do wsi.

— Kiedyć tak, to niech tam Bóg szczęści pielgrzymce i zapomni mu wszystkich grzechów.

* * *

Po kilkunastu latach, — tak dodaje powieść — jechała przez wioskę bryczka, na niej siedział posiwiały zakonnik w habicie. Gdy mijali wąwóz, po

nad którym dość długie rozwlekało się topielisko, woźnica jął się żegnać i konie żwawo poganiać; noc była ciemna.

— Cóż to ma znaczyć, Szymonie? — zapytał kwestarz.

— A bo dobrodziej nie wie? — rzekł woźnica. — Adyć to tu przecie, co djabeł chłopa wodził. Tylko, iż Bóg był mocniejszy i obłąkaną przezeń duszę czartu odebrał. Chłop się upamiętał, żałował za grzechy i gdzieś w świat odszedł na pokutę. Bies zaś ze złości snać całe mieszkanie zatopił i z niem pono wielkie skarby. Nieraz one tu się palą o północy, a rogaty nad niemi wykrzykuje i przejeżdżających zawodzi w błota. O, nie ma tu co bawić, Dobrodzieju.

Zakonnik westchnął głęboko i rzekł do Szymona:

— Zmówmy za wybawionego paciorek, Szymonie; on jest przy tobie.

Woźnica spojrzał na mnicha z przestrachem, lecz widząc go zatopionego w modłach, sam złożył z głowy czapkę i przeżegnawszy się, coraz żwawiej jął poganiać konie.

O piękności polskich gór

w Tatrach napisał zmarły niedawno minister niemieckiej poczty, Stephan, piękny wiersz. Zwiedzał on Tatry w roku 1892. Owczesny »Kuryer Zakopański« tak pisze w jednym z numerów o tych odwiedzinach:

W zeszłym tygodniu bawił tu generalny dyrektor poczt i telegrafów niemieckich, sekretarz stanu Stephan, w towarzystwie wyższych urzędników z Berlina, Wiednia i Lwowa. W ciągu dwudniowego zaledwie pobytu, zwiedził dostojny gość Zakopane, Jaszczurówkę i Dolinę Kościeliską. Tatry tak go olśniły, że nie miał dosyć słów na wyrażenie zachwytu i oświadczył, że chociaż dużo w życiu podróżował i wiele krajów zwiedził, jednak tak pięknej okolicy jak nasza, mało gdzie zdarzyło mu się spotkać. Na pożegnanie napisał Stephan następujący wiersz na cześć Tatr:

Zakopane.

Gleich Himmelspfeilern ragen die Karpathen,
Ihr Firnenstrom rauscht durch Granitgeröll,
Den volksbewegten Fluren der Sarmaten
Zu spenden Fruchtbarkeit und Lebensquell.
Die Sonne strahlt vom hohen Fels-Altare,
Des Lichtes Symphonien Rausch beginnt,
Die Himmelskönigin grüsst Zakopane,
Der hohen Tatra waldgebettet Kind.

25. 6. 1892. Zum Abschied
v. Stephan.

(Sterczą Karpaty jak niebios kolumny,
Lodowy potok łamie skał granity,
I w kraj Sarmatów czarowny i tłumny
Zsyła urodzaj bujny i obfity.
Z ołtarzy skalnych lśni słońce rumiane,
Harmonią świateł spiące szczyty bieli,
Królowa niebios wita Zakopane,
Tę Tatr dziecinę na lasów pościeli).

Wiersz ten znajdował się w posiadaniu dyrektora c. k. szkoły rzeźbiarskiej p. Franciszka Neužila.

Wiersz ten, odezwa serca szlachetnego człowieka, pozostanie w pamięci wdzięcznych.

Praktyczne rady.

— **Zepsute masło naprawić można,** jeżeli się je pokraje w cienkie warstwy i wymyje w roztworze soli kuchennej i sody, a potem zostawi je przez 12 godzin w mieszaninie z 125 gramów soli kuchennej, 120 grm. cukru i 4 grm. saletry rozpuszczonej w 1 litrze wody. Następnie wygniata się masło w czystej wodzie studziennej i soli na nowo, używając 30 grm. soli kuchennej zmięszanej z $7^1/_2$ grm. cukru mącznego i $3^3/_4$ grm. saletry na $^1/_2$ kg. masła. Wrobienie tak mięszanej soli w masło zapomocą gniecenia, odbywać należy w miejscu chłodnem.

— **Kit do szkła i porcelany.** Miesza się razem $3^1/_2$ dkgr. sproszkowanych skorup ostrygowych i 1 dkgr. $7^1/_2$ gr. sproszkowanej gummy arabskiej, i zarabia z wodą lub lepiej z białkiem jaja na massę. Masą tą pokrywa się miejsca połączyć się mające, dobrze przyciska, mocno sznurkiem obwiązuje i suszy w umiarkowanem cieple. Miesza się: 20 części drobno sproszkowanej gummy i 80 cz. gipsu alabastrowego.

— **Lekarstwo na koklusz u dzieci.** Z rzodkwi czarnej obranej z łupiny wyrzyna się ośródek w ten sposób, by pozostała wyżłobiona miseczka. Tą nakrawa się wylot, dziurkuje gęsto, ustawia na szklance i do tejże nasypuje się tłuczonego cukru lodowatego. Cukier wsiąkając w rzodkiew, topnieje i przecieka kroplami przez nacięcia do szklanki, absorbując sok z rzodkwi. Tego soku daje się dziecięciu w małej ilości, np. po łyżeczce małej od kawy, uważając, aby zawsze był świeżym. Im częściej zużywany będzie, tem skutek prędszym się okaże.

— **Ćwikła.** Wziąść ćwikłowych buraków nie dużych, opłukać, ugotować w miękkiej wodzie, obrać gdy ostygną i pokrajać w cienkie plasterki, ułożyć w słoju przesypując tartym chrzanem i kminkiem warstwami, gdzieniegdzie wrzucić ziarnko jałowcu, kawałek cukru, pieprzu i angielskiego ziela, i wszystko gotowanym z solą, ostudzonym octem zalać, a po dwóch dniach ćwikłę używać już można.

Rozmaitości.

* **Pająk w kielichu.** Ks. arcybiskup Maciej Łubieński odprawiał pewnego razu mszę św. Było już po konsekracyi, gdy nagle wpadł do kielicha wielki czarny pająk. Obecni kanonicy błagali arcypasterza, aby nie spożywał konsekrowanego wina, chyba po usunięciu pająka. Pobożny arcybiskup nie dał się niczem zastraszyć, a nie zważając na obrzydzenie, wypił Krew Pańską i mszy św. dokończył. Czując się znużonym, usiadł w krześle i zasnął. Podczas snu w obecności licznych duchownych wyszedł pająk z ust prymasa.

* **Kraj bez niedzieli.** Chiny nie znają niedzieli, ani nie mają w szeregu dni tygodnia takiego dnia, w którymby pracę zostawiali, a modlili się i odpoczywali. Mają oni swoje rozmaite święta i te obchodzą wedle śmiesznych swych zwyczai. Takiem świętem dla nich, jest tak zwane »święto uroczych łodzi.« Początek temu świętu dało następne zdarzenie: Za bardzo dawnych czasów panował w Chinach niesprawiedliwy i niedobry król Ts'u. Minister jego Kü-Yuan, począł rozgłaszać niesprawiedliwość króla i przez to utracił łaskę. Oddalony z dworu króla, napisał na niego wiele rzeczy, przez co go tak prześladowano, iż utopił się z rozpaczy. Odtąd tę rocznicę śmierci w całych Chinach obchodzą uroczyście, odbywają wtedy wyścigi na łodziach. Łodzie są nadzwyczaj długie, na jednej siedzi 50 ludzi parami, ci wiosłują. Jeden stoi na przodzie i sypie na wodę ryż. Ten ryż ma złe duchy oddalać. Przytem jest krzyk i hałas nie do opisania. Największe hołdy od Chińczyków odbiera bożek bogactwa. Kto pragnie sobie zaskarbić łaski tego bożka, ten w dzień jego święta składa mu liczne ofiary. Na placu targowym w dzień święta tego bożka, odbywa się uroczystość armaty. Drewniana, wielka armata, lekko prochem nabita, stoi lufą do góry. Lufę przykrywa trzcinowy krążek, zapalony proch wyrzuca krążek do góry, a cały tłum rzuca się, by go złapać. Kto go złapie, stanie się do roku bardzo bogatym. Ile tam jest przytem sińców, bijatyki i krzyku, czy się da opowiedzieć? Chińczycy wyobrażają sobie, że każdy człowiek ma trzy dusze. Jedna ulatuje z ziemi po śmierci człowieka, druga zostaje w mogile, trzecia jest w nagrobku. W święto umarłych, które Chińczycy obchodzą na wiosnę i w jesieni, przynoszą oni na groby rozmaite ofiary, wino, jedzenie, świece i pieniądze papierowe.

* **Doróżkarz warszawski.** Lubo żadna praca nikogo nie hańbi, dziwnem się wszakże wydaje znaleść człowieka z wykształceniem uniwersyteckiem w ubraniu doróżkarskiem. Takie odkrycie zrobiła niedawno rodzina N., przybyła z zagranicy do Warszawy. Doróżkarz, który ich obwoził w mieście, udzielał różnych objaśnień, zdradzających człowieka wykształconego, któremu i języki, francuski, i niemiecki, nie są obce. Z dalszej gawędy okazało się, że doróżkarz przechodził różne koleje losu, w końcu zaś tak powiedział:

— Schowałem mój dyplom kandydacki na dno kuferka, kupiwszy doróżkę za resztę pieniędzy. Furmanię sobie, co mi pozwala żyć jeśli nie dostatnio, to przynajmniej spokojnie.

* **Boża Rola.** Często się słyszało w czasie jubileuszu gnieźnieńskiego słowo »Boża Rola.« Do »Dziennika Poznańskiego« piszą: Nazwa ta oznacza część otoczenia, gdzie stoi dziś ambona dla misyonarzy. Nazwa pochodzi ztąd, że arcybiskup Maciej Łubieński kazał po tej roli rozsiać ziemię przywiezioną z Palestyny. O tymże arcybiskupie jest legenda, że kiedy Szwedzi napadli tum i dla rabunku otworzyli jego trumnę, uniósł się w niej i odstraszył napastników. Wywieźli oni 16 wozów czterokonnych, naładowanych kosztownościami.

ZAGADKI.

1.

Sześć mam części, niewiele,
Lecz mam w sobie ukryte
To, co w mierze wypite
Sprawia zwykle wesele,
To, co w dani od żony
Do dóbr męża przechodzi,
To, co daje nam plony,
Zboże co rok nam rodzi,
Tę, co słońca nie lubi,
Choć mądrości jest godłem,
I tę która się chlubi,
Cienkim paskiem i żądłem.
Wszystka w wasze okienko,
Wraz z słowiczą piosenką,
Pełna krasy, uroku,
Zaglądam raz do roku.

2.

* . . . . . . *
* . . . *
* . *
*
* . *
* . . . *
* . . . . . *

Zastąpić kropki i gwiazdki literami, ułożyć wyrazy. Rząd 1. Liczba. 2. Miasteczko we Włoszech. 3. Przysłówek. 4. Samogłoska. 5. Zaimek. 6. Zamek obronny nad Dnieprem. 7. Jezioro w Ameryce. Gwiazdki krzyżujące się powinny utworzyć od góry do dołu nazwiska słynnego malarza i słynnego uczonego

Rozwiązanie zagadki z Nr. 19:

1.

1) Jaj. 2) Emma. 3) Ren. 4) Oswald. 5) Ziół. 6) Ou. 7) Luksenburg. 8) Indygo. 9) Mors. 10) Aranjuez.

Jerozolima. — Jan Długosz.

2.

A
D
P R A C A
M
A
S
N
P Y Ł
P O K Ó J

Odgadli pp.: Jan Badura z Roździenia, Józef Knopp z Zabrza.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu G.-Ś.